

na mglistością i zamazaniem; mianowicie tyczy się to przestworu między Myszą Wieżą a Kopcem Kościuszki. Po karcie tytułowej następuje dopiero właściwe Album, odbite, jak już powiedziano wyżej, na 27 tablicach. Rozróżniamy w niem mianowicie cztery działy: *po pierwsze* dział portretów i typów polskich, składający się z dziesięciu tablic; *po drugie* dział widoków i krajobrazów liczący dziewięć tablic; *po trzecie* dział płaskorzeźb i *po czwarte* dział medalów i pieczęci, składające się razem na 8 tablic.

W dziale pierwszym znajdujemy między portretami popiersie samegoż Kielisińskiego, (choć nie uderzające podobieństwem, o ile pamiętamy rysy zmarłego), Jakóba Troschela, malarza nadwornego Zygmunta III, Michała Janowskiego malarza Krakowskiego z XVIII wieku, a nareszcie szkic Chodowieckiego, przedstawiający jego samego wraz z żoną, i własnoręczny portret Orłowskiego przeznaczony dla jego przyjaciela Oborskiego. Oprócz tego, znajdują się też tu jeszcze dwa portrety nieznanym osobom otówka Gaszyńskiego, znanego przed kilku laty zaszczytnie portrecisty w Poznaniu. Prócz portretów, zawiera dział ten różne typy polskie, różne komiczne sceny; wszystko wykonane z mistrzowską dokładnością, pochwyceniem oryginalności specjalnej i niezaprzeczoną humorem. Jest to rodzaj rysunku, w którym zmarły Kielisiński był prawdziwym mistrzem, a przytém widać po podpisach, jak np. *Miciów z powinnowaniem imienia; Pani Pawlikowskiej z Dziecuszyckich z p. i. W. K.; Augustowi Bielowskiemu z p. i.*, że Kielisiński rzeczywiście dla przyjaciół tylko a nie dla publiczności przeznaczał zamieszczone tutaj utwory, i że to co widzimy dzisiaj w jego Album, jakby od niechcenia tylko na papier rzucone. Najlepiej udają się Kielisińskiemu typy chłopów i żydów z najznakomitszych części Polski, jak np. sitarz z pod Rzeszowa; choć i innym tego rodzaju pracom, jak np. *dwom łozom z czasu kontraktów lwowskich* trudnoby cośkolwiek zarzucić. W pierwszej widać kilka głów wystrojonych a raczej przestrojonych pań i starych panien, poglądających z zadowoleniem przez szkielec na scenę czy publiczność. W drugiej tłoczy się cały rój żydów polskich, między którymi doskonale mianowicie schwycony wyraz twarzy gorliwego spektatora, czepiącego się ścian łoży i wysuwającego za nią ciekawą głowę, byle nie ze sztuki nie stracić. Również doskonałe są typy mieszczan wileńskich z XVI a szlachty z XVII wieku; dalej górali, żołnierzy i niewiast polskich z XVI i XVII wieku. W dziale widoków i krajobrazów, w którym Kielisiński, nie tyle geniusz twórczy, jak dobry rysownik i rytownik, wyższy prawie aniżeli w pierwszym, znajdujemy pięknie wykończony zamek Trębowski, ruiny zamku Fellńskiego w Inflantach, Przewóz na Sanie we wsi Baryczy, kilka widoków z okolicy Pińczowa i Olsztyna, śliczny rysunek przedstawiający *wnętrze zamku na Tarnawie*; dalej *chatę w Jabłonie, Pragę, wieś Kazuń*, i mogiłę Krakusa na Krzemionkach. Z Wielkopolski, o ile uważaliśmy, są w Album tylko dwa małe krajobrazy: wioska pod Grodziskiem i *Droga w okolicy Trzemesznej*. Dział płaskorzeźb zawiera między

innymi rzeźbę nad bramą Kollegium, świętego Jana w Krakowie, wyobrażenia Pogoni na różnych nagrobkach królów polskich, i herb nad bramą kolegium Jagiellońskiego w Krakowie. Dział pieczęci i medalów nareszcie, w którym znawcy najwięcej z wszystkich innych prac jego przyznają Kielisińskiemu talentu i zasługi, mieści między innymi cudną prawdziwie roboty ogromną pieczęć Władysława Jagiełły, a następnie pieczęci Zygmunta I i Zygmunta Augusta.

Zamieszczona na wstępie Album przedmowa podaje następne szczegóły o życiu Kielisińskiego. Urodził się Kajetan Wincenty Kielisiński roku 1808, we wsi Mieronicach, Województwie Krakowskiem. Ukończywszy szkoły w Pińczowie, zwiedzał uniwersytet Warszawski, a mianowicie wydziały budownictwa i matematyki. Po roku 1831 bawił niejaki czas w Krakowie, z kąd r. 1834 został wezwany do Medyki, przez sławnego zbieracza przedmiotów sztuki i nauki ojczystej, Gwalberta Pawlikowskiego, do uporządkowania i skatalogowania jego zbiorów. Po pięcioletnim pobyciu w Medyce, został Kielisiński powołany na bibliotekarza księgozbioru Kurnickiego, przez Tytusa Działyńskiego i przeniósł się w Poznańskie, gdzie 2 stycznia 1849 nagle i niespodzianie życie zakończył. Sądząc po pracach, podróżach i zbiorach Kielisińskiego, który zgromadzał widoki ruin, zamków i kościołów, jako też wszelkie żyjące typy, wszelkie stroje i przybory dzisiejszej i dawniej Polski, śmiało powiedzieć można, iż w świeżo wydanym Album zaledwie drobną cząstkę licznych jego utworów oglądamy.

Tyle o Album Kielisińskiego.

Następnie, ciągnąc już coraz dalej ad vocem literatury, wyszedł także teraz program gimnazjum s. w. Maryi Magdaleny w Poznaniu, na rok szkolny 1852—53. Publikacji tej nie wspominalibyśmy tu weale, gdybyśmy w niej nie byli znaleźli polskiego, metrycznego przekładu 17 satyr Horacego, przez Dra Marcellego Motty, tego samego, który roku zeszłego przełożył Bukoliki Wirgiliusza.—Co się tyczy samego przekładu, znajdujemy go wiernym wprowadzie jak i w Bukolikach, lecz i język ciężki tu równie jak i w Bukolikach. Mniej w tém może winy tłumacza, jak nieszczerzego miarowego wiersza, w który przekład swój zakuc uważał za rzecz stosowną.—Dodać tu jeszcze winniśmy, że wierszem tłumacza jest hexameter, dopuszczający jednakże w pierwszej stopie niedozwolonego tutaj w starożytnych językach trocheju. Dalej jest u niego każdy wyraz jednozgłoskowy krótkim, wyjąwszy jeżeli na niego główny pada przycisk.—Już dawniej wyraziliśmy wątpliwość naszą nad prawdziwością takiego uważania rzeczy.

Przy tych pocieszających nowinach literackich na dzisiaj, nie mniej dobre nowiny i z innego pola. Zboże płaci coraz bardziej i pójdzie pewnie jeszcze w górę, a panowie nasi radzi sobie i wesela się polowaniami *par force*, wyścigami konno i w powozach, pod okiem łaskawego na nich księcia Ordynata Augusta Sułkowskiego. Psy, żokejów i *huntsemanów* sprowadzono na ten cel z Anglii; do współdziałania zaś w zabawie nie omieszkało zaprosić różnych panów ze Szląska. I tak, donosi właśnie dzisiaj

tutejsza Gazeta niemiecka, między wiadomościami z prowincyi, że wczoraj czy przedwczoraj jakiś nasz szlachcic przegrał, w wyścigach powozowych między Leszmem a Rydzyną, 25 luidorów do jakiegoś szląskiego hrabiego von Schmettau; inny znów obywatel wiejski przegrał podobną sumę w wyścigach konnych, do jakiegoś także szląskiego hr. von Willamowitz. Bodaj to jednak mieć nadto pieniędzy i na tak szlachetne poświęcać je cele. Naśladujcie sąsiedzi piękny przykład parafii Poznańskiej!

Z wiadomości brukowych mógłbym wam chyba to tylko donieść, że opera niemiecka, mająca kilku dobrych śpiewaków, ale chromająca potężnie w chórach, daje tu wciąż przedstawienia i w tych dniach mianowicie przedstawiała Hugenotów, Balwierza Sewilskiego, Normę, a dziś właśnie Westalkę Spontiniego. O naszych artystach, których przybycia na zimę spodziewano się tutaj, nie słyhać dotąd ani słowa.

KONCERT NA PROWINCYI.

Niosę wam nowinkę z której już mię wydał powyższy tytuł artykułu. Koncert w mieście—to nie naturalniejszego, ale koncert na prowincyi, na wsi, przyznacie sami, że to rzadkość! Niedawno jeszcze pisałem do Gazety Warszawskiej, iż u nas ani o koncertach, ani o teatrach, ani o artystach nie pisać nie można, bo tu tego wszystkiego ani słyhać, tymczasem, oto ni stąd ni z owąd wystąpiliśmy z przesłicznym koncertem, ale to tak ślicznym, wesołym, skocznym, ożywionym, jak gdzieindziej bywają często monotonne i nudne. Słuchajcież jak to było.

Siedzieliśmy sobie moiści dobrodzieju w najlepsze po domach, kopiąc buraki, młóćąc pszenicę—i do tyła zaprzętnęliśmy głowy rachunkami, iż nie było dla nas miłszej harmonii nad pomyślną wiadomość o wysokiej cenie pszenicy w Odessie, lub dobry wydatek buraków z dziesięciny. Jednym słowem, stawali się materyalistami, kłaniali się cyfrze, zapominali o pięknie—a tu tymczasem następowała zimna, pochmurna, wilgotna jesień i ciągnęła prosto na nas ze swemi długimi wieczorami i ze swoją ciągłą piosnką około uszu i okien. Mówicie: książka, gazeta, na takie nudy najlepszym jest środkiem. Gdzie tam! z niemi jeszcze gorzej! Alboż myślicie iż opisując nam wasze bale, wasze teatra, wasze stroje i magazyny, wyświadczacie nam ulgę?—bynajmniej! sprawiacie nam męki Tantalusa.... I owe małe dopiski przy końcu każdego numeru, gdzie czytamy: »Dziś w takimto teatrze to, w takim owo«—o! nie jedno z pięknych piersi wywołały westchnienie! Nie jedna młoda główka skłoniła się zadumana i pomyślała: »Mój Boże, jakże tam wesoło! a tu takie nudy!... a ten niedobry kalendarz, jakże on długo każe czekać na mamy imieniny!«

Czy myślicie może iż z nami inaczej? I z nami toż samo! Knieja—karty—sygara—odpowiadają za wszystko. Jesienią projektujemy podróżę na wiosnę do Warszawy, zagranicę, do wód, a jak przyjdzie wiosna, to żal się nam zrobi zostawiać gospodarstwo, napijemy się więc wody i serwatki własnej, wyjedziemy za gra—

nicę... wioski—i tak znowu przechodzi rok cały.

W takim to zostawaliśmy położeniu, gdy zawiązał w nasze strony młody artysta *Piotr Jaza Marcinkowski*. Wyznaje, iż nie mógł on przybyć we właściwszą porę. Jesień rozstroiła nam uczucia, gorzej jak młode elewki fortepiany: trzeba było czegoś coby je przywiodło do ładu, a cóż potężniejszego w tym względzie nad muzykę? Dość było pokazania się jego w kilku salonach, ażeby uprojektowano koncert.

Myśl ta zyskała powszechne współczucie, — lecz gdzie będzie koncert? w mieście; ależ w tém to i sęk iż u nas miast nie ma! W domu obywatelskim; ależ w takim razie to nie będzie koncert? Rada w radę stanęło na tém, iż obrano we wsi *Birkach* neutralny pałacyk i bileciki na dwóch rubelkowych skrzydełkach rozleciały się na wsze strony, zapraszając amatorów muzyki na 28 września, na godzinę szóstą wieczorem.

Jedziemy tedy—przyjeżdżamy—wchodzimy i zastajemy salę oświetloną, pełną, świetną do-borem towarzystwa. Zaczął się koncert.

Najprzód dała się słyszeć orkiestra akompanijująca artystę, pod przewodnictwem dyrektora p. *Wytornickiego*.

Następnie p. *Marcinkowski* grał dwie wariacje *Beriota*, kompozycję *Kątskiego* z *Lucii* i zakończył sielankowym mazurem tegoż artysty, tą śliczną indyllą narodową, którą mógł stworzyć tylko *Kątski*, a wykonać i zrozumieć ci, dla których motywa tej kompozycji jedno co fibry ich własnego uczucia.

Dziwna iż każda genialna kompozytorka, zyskując ogólną sympatię, nie zawsze przez każdego pojmuje się jednak. Każdy tłumaczy ją po swojemu, lecz to pewna iż przemówi do każdego, czy przez formy w które się oblekała, czy przez myśl która z niej prześwieca. Mazur, uważany pod tym względem, jest u nas bodaj czy nie najdziwniejszym charakterystycznym fenomenem narodowego ducha. Pod smyczkiem artysty, piękny ten motyw bierze właściwe sobie formy, nie powtórzone przez nikogo, nie powstałe z żadnych wyczynionych frazesów, zawsze jednak pełne charakteru i wdzięku. Jak w każdym ściśle narodowym utworze, przemaga tu potęga ducha i podnosi się do twórczości. Mazur tylko posiada tajemnicę mówienia do nas o wszystkim, i przezeń tylko możemy być rozumiani od obcych.

Ten perłowy poemacik co się wylał z duszy artysty w chwilę natchnienia, jak niegdyś »*Rusalki*« z piersi *Bohdana*, ilem go razy słyszał, stawał mi za wszystko. Gdyby można było nie budzić się z marzeń, zdaje się—całą naszą przeszłość obleciałbym na tych tonach, które zdawały się brać najpiękniejsze kartki wrażeń i uczuć i czytać je głosem anioła, kochanki, bóstwa, ale nie człowieka!

Dwa lata upływa jak słyssałem grę naszego młodego artysty. Talent ten o wiele dziś jest zupełniejszy. P. *Marcinkowski* nabył niedawno jedne z najlepszych skrzypiec *Stradivariusa*, pełne głębokich, miękkich i czystych tonów. Jego gra, przedewszystkiem przesiąknięta myślą i uczuciem, ma tę wielką zaletę iż nie kawałkuje kompozycyi, tak że rozumiemy całość a więc słyszemy rzecz jak żywą.

Cóż wam powiem więcej? Oto po skończo-

nym popisie smyczka, nastąpił popis lakierowanych butów i białych, drobniutkich trzewiczków, należących do niemniej drobnych stópek piękności naszych. Oświata zrobiła z nas kosmopolitów a bal każdy jest uosobieniem owego kosmopolityzmu. Któż z walca nie pozna germańskiego idealisty? któż nie przyzna iż wy płynął z tych samych przyczyn z których i system *Kanta*? Któż nie odgadnie z kadryla iż jego ojczyzną jest *Francya*, a z mazura, że go wynaleźli *Polacy*, a raczej, iż on znalazł jednych tylko *Polaków*, co go pojęli i ciałem i duszą. Była tu i polka, to swawolne dziecię wzięte z pod Czeskiej strzechy i przerobione w pensyonach na konwencyonalną panienką z francuskim taktem i gorsowaną minką. Latały poetyczne pary—grzmiały hołupce—krzyżowały się wdzięczne figury kadryla—ogień—życie—młodość—muzyka—zapach—złożyły się razem na jeden obrazek i jak tęczą kolorowały krawędzie przedmiotów. Słowem—ów zaimprovizowany koncert, było to coś nakształt owęj elektryczności, która na morzu greckiem nawiedza żeglujące statki—pali się na masztach i za dotknięciem, ciska iskry z każdego przedmiotu.

Niebędziem tu kończyli naszej gazeciarskiej wiadomości zapewnieniem, iż zabawa ta »zostawiła nie wygasłe wspomnienie w każdym kto był uczestnikiem onęj.« Dziś podobne słowa, jak: niezmiennność, niewygastłość, stały się anachronizmami, nawet w miłości, jak sama miłość nie za długo zamieni się na myth, o której nie mówi dobrze wychowany młodzieniec przed salonową pięknoscią, nawet gdy prosi o jej rękę—ale jesteśmy w obowiązku powiedzieć, że pomysł to był piękny, bo miał na celu towarzyską zabawę i przychylnie współczucie dla — artysty, którego oceniliśmy sami, nie żądając pokazania na talent dyplomów zagranicznych.

Z Ukrainy 16 października 1853 r.

Tadeusz Padalica.

LUBLIN STAROŻYTNY.

KOŚCIÓŁ BERNARDYNÓW.

Więcej i dalej jak przed dwunastu wiekami, sześć godzin drogi od Wisły, a dwie od rzeki *Wieprza*, w miejscu wzniosłym, w widłach dwóch rzek, z których większa od hystrego biegu nazwisko *Bystrzyca* przybrała, wznosił się z trzech stron wodami oblany, podłużnie ciągnący się półwysp, lasem dębowym zarosły. Sam cypel owego półwyspa, na wschód zakrzywiony, odłączono od ładu, wybrany szeroki przekop zapewniono wodą, palisadami ogrodzono, budowle wzniesiono, i na tej małej wyspie, na powierzchni wód csadzonej, książęta *Sławińscy*, dla zabezpieczenia krajowców od napadów hord barbarzyńskich, lub utrzymania w posłuszeństwie zawojowanych *Wandalów* lub *Gothów*, i inne koczujące plemiona, wprowadzili załogę i grodem *Lublin* nazwali.—Czyli *Hercynowie* od puszczy *Niepołomskiej*, czy *Sydnowie* z nad *Wisły* lub *Atmowie* z *Wołynia* tu od dawna zasiedli, czyli też późniejsi *Drewlanie*, *Trawianie*, albo *Polanie*, lub inne pokoleń *Sławińskie*, nielicząc *Pomorzan* i *Kaszubian*, nad morzem osiadłych, byli najpierwszymi którzy się pod opiekę straży w tym grodzie

poddali, dociec dziś trudno; dosyć że z tych pokoleń niektóre, bądź stałe, bądź czasowo, w miarę jak nowe nachodziły, i jedne drugie spędzały plemiona; pobudowały budy, chaty i tam zamieszkały; one to od strony północnej owego półwyspu—za obszernym późniejszym stawem, na powierzchni którego, po ustąpieniu wód i osuszeniu bagien w ostatnich wiekach starozałonni osiedli—zawiazali się w społeczność; osady tam założone, oddzielnymi jurysdykcjami i przywilejami opatrzone, nazwy *Czwartek* i *Kalinoszczyzny* przybrały, zwierzchnictwu *Starosty Grodu* podlegały; osady te stały się stolicą ziemi *Lubelskiej*, już w wieku dziesiątym znaną.

W ziemi lasami zarostej, w paszę i wody obfitej, dla pasterstwa, rybołóstwa i rolnictwa dogodnej i korzystnej, ludność wzrastała, lecz gród czyli kasztel mieszkańców tej ziemi od napadów wędrownych ludów nie zabezpieczał.

Za czasów już wprowadzonego chrześcijaństwa, na początku *XIII* wieku, zjawiają się *Tatarowie*, po porażce *Polowców*, wielkie klęski i spustoszenia nie tylko tu i w *Węgrzech*, ale prawie w całej *Europie* czynią; co gorsza, *Gelonowie* i *Jadźwingowie*, plemiona *Wenedów*, w kraju *Litewskim*, *Podlasiu* i części *Mazowsza* osiadłe, ludy niemal dzikie, w jamach żyjące, skórąmi z ludzi odartymi odziane, jako najbliższe tej okolicy sąsiady poznać się dają; a ostatni namowani swych pogańskich kapłanów, których poprzedników pierwotni chrześcijanie ztąd wypędzili, podżegani, nie jako mszcząc się za zniewagę bożyszczów i bałwanów poniszczonych, i zgaszenia w lesie *Dębowym* *Perkunowi* poświęconego a ciągle gorejącego ognia, częstych napadów, gwałtów i zaborów stają się sprawcami; żadnej nie pominą sposobności, aby swoją zemstę nasycić a zdobycz pozyskać, łącząc się już to z *Konradem* *Księciem Mazowieckim*, już to z *Tatarami*, już też i sami śmiałe w te strony wycieczki czynią. Najpierw *Bolesław* *Wstydlivy*, w roku 1242, pod *Suchodolami* ich rozprasza, atoli przed ich napadem w połączeniu z *Tatarami*, którzy się w górę *Wisły* posunęli, w roku 1259, wraz z żoną *Kunegundą* do *Węgier* chronić się przymuszony, po powrotnym z *Węgier* powrocie, w roku 1264, onychże zwycięża, zupełnie rozprasza, tak że nawet ich wódz *Komath*, włócznią przszyty, ginie. Lecz nieprzystają oni nachodzić spokojnych mieszkańców tej ziemi. W roku 1282 książę *Leszek Czarny*, sprawując sądy w *Krakowie*, na wiadomość że dnia 24 września *Jadźwingowie* na ziemię *Lubelską* napsdli, dni kilkanaście ją rabowali, i z dobytkiem powracali, w 6000 wojska wyrusza, a gdy ich tu nie zostaje, sprzyjającym objawem we śnie zachęcony, z wielkim pośpiechem w pogoni nad *Narwią* dopędzonych 14,000 w lasach do szczętu wytopia, i ziemię *Lubelską* od napadu tych barbarzyńskich sąsiadów na zawsze uwalnia.

Ołbrzymi *Dąb*, pod którego rozłożystymi konarami, na wzniosłym brzegu lasu dębowego sanął był *Leszek Czarny* i w tym śnie miał sobie zwiastowane zwycięstwo, pada pod ciosami toporów, nurza się w obszernym stawie, na wschód położonym, i czarowne odkrywa widoki, a na ruinach powyrwanych już dawniej bałwanów *Perkuna*, *Potrympa* i *Patella*, w przestrzeni jak daleko sięgał ów *dąb*

przez wieki szanowany, wznosi się kaplica, przez pobożnego księcia założona, w późniejszych wiekach przybudowaniem nawy kościoła i pobożnych kaplic znacznie rozszerzona, na kościół parafialny S. Michała Archaniola poświęcona. Przed kilku dopiero laty zwała się poboczna ściana tej starożytnej świątyni z kaplicą Stój Elżbiety; zaś ów pierwotny kościółek, presbyterium stanowiący, który blisko sześć wieków nietknięty przetrwał z sklepień skalistych z trudnością wzruszony i rozebrany, a miejsce pnia świętego dębu w pruchnicę zamienionego pod wielkim ołtarzem odkryte zostaje; obraz zaś Arcywojownika świętego, upokarzającego dumę i pychę szatana, z tego ołtarza wyjęty, w kościele dziś Katedralnym Sw. Jana, w urządzonym ołtarzu na bocznej ścianie, odwrotniej presbyterii, w korytarzu do zakrystyi prowadzącym pomieszczony zostaje. Ten tylko wynikł pożądanym owoc z rozebrania starożytnej świątyni, że zacięte i drażliwe spory pomiędzy dozorem parafialnym a kapitułą kollegiatą, o seperacyą funduszów parafialnych, utrzymanie kościoła parafialnego Sw. Michała podług pierwotnych, dla pobożnych mieszkańców zbawiennych przywilejów, i zachowanie uroczystości parafialnej tego Świętego Patrona i opiekuna starożytnego grodu, przez sześć wieków bez przerwy obchodzonej, przed władzami rozpoczęte i popierane, zupełnie ustały; osoby też do sporów wpływające z obu stron już prawie wymarły.

Z wzniesieniem świątyni Pańskiej, przykładem pobożnego monarchy mieszkancy okoliczni zachęceni, odwieczny, z czasów pogańskich las dębowy, dwa przeszło wieki przez pierwotnych nawet chrześcijan szanowany i nietknięty, w pień wycięli, nową osadę utworzyli i założyli terazniejsze miasto Lublin, obecny Rynek z przyległemi ulicami, mianowicie ulicą Grodzką do owego grodu skierowaną, na której stał ów kościół Sw. Michała Archaniola.

(Dokończenie nastąpi.)

BRACIA ŚLUBNI.

POWIEŚĆ W 3ch TOMACH

Z CZASÓW AUGUSTOWSKICH,
przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

Tom I.

(Ciąg dalszy) (*)

Tymczasem Podkomorzy sam przysunawszy dwa krzesła, czerwoną, w złote kwiaty upstrzoną skórą obite i usadowiwszy na nich swych gości, tak znowu mówił:

— Więc tedy, jako się dowiaduję od mojej córki, która miała honor przypadkowo poznać Waszmościów...

Na te słowa zarumienili się obadwa bracia aż po za uszy, ale Podkomorzy złagodniejszy mowę swoją najpocziwszym na ziemi uśmiechem, naprawił to jakoś.

— Przypadkowo poznać Waszmościów—mówił dalej pan Podkomorzy—że jeden z was jest Bobowski, drugi zaś Osuchowski. Nie widzia-

łem was nigdy na życiu, a jednak poważę się zgadnąć, że ten musi być Osuchowski.

To mówiąc pokłonił się panu Łowczycowi, który pokłoniwszy się wzajem, odpowiedział:

— Tak jest, panie Podkomorzy Dobrodzieju, ja jestem Osuchowski.

— A widzisz. Ojca Waszmości, panie Bobowski—mówił dalej pan Podkomorzy, obracając się do pana Józefa—miałem honor znać bardzo blisko. Winien jemu nawet byłem wiele wdzięczności, był bowiem tak łaskaw, że w moim imieniu gładziuteńko jak gdyby po mydle załagodził pretensye, z jakimi po śmierci ojca mojej żony wyjechał pan Gogolewski i namalował na masę Balowską. Listy pana Stolnika, które do mnie pisał był w tej materii, dotychczas jako miłą jego przyjaźni pamiątkę chowam w moim biurku, a nie miawszy nigdy okazji wywdzięczenia się jemu za tę przyjacielską usługę, chowam tę wdzięczność w mém sercu i niewypowiedzianie miło mi jest, że ją już ze sobą poniosę do onego mieszkania, które owo widzicie pod moim łóżkiem. Ale z twoim ojcem, panie Łowczycu—ciągnął dalej Podkomorzy, obracając mowę swoją do Osuchowskiego—wiele lat w ścisłej się przeżyło przyjaźni.

— Jak to?—zawołał na to z serdecznym uczuciem pan Łowczyc, a cała piękność tkliwej miłości synowskiej zajaśniała jak gdyby promień słońca na jego zwykle surowej twarzy—jak to? Waszmość pan znałeś mojego ojca?... i dodał smutno:—mnie się nie dostało to szczęście, ja już nie pamiętam nawet i jego twarzy.

— O znamem!—odpowiedział Podkomorzy—i w wielkiej z panem Fryderykiem żyłem przyjaźni. Kilka lat z sobą służyliśmy w jednej chorągwi, kilkanaście batalij odprawiliśmy razem, a podczas wojny z Turkami nawet pod jednym sypialismy namiotem. Był to mąż wielkiego serca i wspaniałego umysłu, pierwszy rycerz w całej chorągwi i pomnę że dla mnie był zawsze wzorem, który ciągle naśladowałem ale którego nigdy dosięgnąć nie mogłem. O odwadze takiej, jaką się nad wszystkich dystygnował nieboszczyk ojciec, niebawem może ludzie i pojęcia mieć nie będą, a przecie ja jej świadkiem byłem po tyle razy. Ta też odwaga jego zebrała go z tego świata tak młodo. O kilkanaście kroków stałem od niego, kiedy na mur się wdrapawszy, kulą ugodzony w samo skronie, padł i ducha wyzionął. Żal wielki ogarnął nas wszystkich, chorągiew cała przez ten dzień była jak święta a długo jeszcze potem nie mogliśmy sami sobie dać wiary, że już niemasz Osuchowskiego.

Pan Łowczyc śród tej całej mowy Podkomorzego, która była powiadana pomału i dobitnie, ciężkie tylko wydobywał ze siebie westchnienia, a kiedy pan Karsznicki zakończył słowa, że już niemasz Osuchowskiego: dwie łzy jak perły potoczyły się po mężkiem licu pana Stanisława i utonęły w jego sumiastych wąsach. Co widząc Podkomorzy, także łzę otarł z oka i ze szczerą serdecznością podawszy rękę panu Stanisławowi, ścisnął go aż powyżej kostki i rzekł łkając:

— Bodaj się tacy synowie rodzili nam wszystkim.

Tymczasem Ksiądz Kapelan, który wprawdzie

siedział wprost naprzeciwko Osuchowskiego, jednak przez siedzącego pomiędzy nimi Podkomorzego, większą połowę figury tamtego miał zastłoniętą, ciekawością zdjęty, wstał z swego krzesła i przypatrując się dobrze Osuchowskiemu, rzekł dosyć głośno:

— A jaki podobny do pana Fryderyka!

Osuchowski spojrzął z pod oka na Kapelana, a kiedy wyrazu zadziwienia nie mógł utać na swojej twarzy, tak że go dostrzegł Podkomorzy Halicki, rzekł tenże do niego:

— Bo to jest spowiednik, ba! prawdziwy towarzysz chorągwi w której służył ojciec Waszmości.—Na to pan Łowczyc do Księdza:

— Więc i Jegomość dobrodziej znałeś mojego ojca?

— Czy go znałem?—rzekł Ksiądz poważnie—te ręce, które Waszmość tu widzisz, uniosły go z pod onego niefortunnego muru, pod którym ducha wyzionął, a te usta wymawiały ostatnie *Requiem aeternam* nad jego grobem.

Osuchowskiemu już łzy się potokiem lały po obudwóch policzkach, a kiedy Podkomorzy dodał jeszcze do tego:

— Powiedz że Księżu, przecie mowę potem miałeś w obozie, w której coś dużo było o panu Fryderyku;—

to Osuchowski już się dalej powstrzymać nie mógł i powstawszy z swego siedzenia, poszedł ku oknu i tam w głos szlochał jak dziecko.

Żal ten synowski, a raczej hołd serdeczny, łzami temi oddawany ceniom ojcowskim, udzielił się zaraz wszystkim i przez chwil kilka potem trwało w całej izbie uroczyste milczenie; jednakże kiedy pan Łowczyc długo od okna nie wracał, Podkomorzy zaczął nową z panem Stolnikowiczem rozmowę, a bojąc się jeszcze i tego do łez doprowadzić, nie wspominał mu już nic o nieboszczyku Stolniku, jeno jął go się wypytywać o on związek braterski, który trwał pomiędzy tymi obudwoma kawalerami a którego sława znana była po części i na ziemi Halickiej. A kiedy pan Józef ze wszelką skromnością i przystojnością opowiedział już wszystko, coby godne było wspomnienia, Podkomorzy się trochę zamyslił, a Ksiądz Kapelan do niego mowę zwróciwszy, tak zaczął:

— Dzwne to rzeczy dziś na tym świecie JW. Panie. Nie chcę ja nic przez to ujmować trafności i cnocie, jaka się w takich związkach *generaliter* wzięwszy znajduje, ale trudno nie wspomnieć, że podczas, kiedy dziś jeden taki związek już wszystkich w oczy uderza i do częstego dyskursu staje się materyą, kiedyśmy się bili przeciwko Szwedom, w samej naszej chorągwi było trzy takie związki i nikt o nich nie wiedział.

— A, przepraszam,—odezwał się na to pan Karsznicki,—o związku panów Jankowskiego i Drohostajskiego cały świat wiedział.

— A dowiedział się świat cały, to prawda,—odpowiedział Kapelan,—ale sz wtenczas, kie-Jankowski go, przez Szwedów do niewoli wziętego, Drohostajski, nocą kilkadziesiąt szabel wyprowadziwszy z obozu i na obóz szwedzki napadłszy, z tej niewoli wydobył i na drugi dzień za to na rozkaz hetmana o mało co rozstrzelanym nie został.

— A to prawda,—dodał Podkomorzy,—i wtenczas się to ich afekta wydały.

— A Waszmość,—zapytał Ksiądz Bobowskięgo,—nie byliście jeszcze w żadnym takim terminie, gdzie-by jednemu za drugiego gardła nadstawić wypadło.

— Nie masz Mości dobrodziejku dzisiaj okazyi po temu,—odpowiedział na to pan Stolnikowicz,—na świecie cicho, o wojnie ani słychać, zkadże-by się wzięło niebezpieczeństwo?

— A jednakże nam powiadano,—zarzucił pan Podkomorzy,—że jeden z was był już w bisurmańskiej niewoli i wykupiony z niej przez drugiego.

— Ja to byłem ten nieszczęśliwy,—odpowiedział pan Łowczyk, powracając już wyptakany od okna,—który się w pogańskie ręce dostałem i mało tam już żywota mego nie położyłem.

— No proszę Waszmości, powiedz-że nam, jak to było,—rzekł znowu pan Podkomorzy,—bo my obadwa z Księdzem Kapelanem wojowaliśmy z Turkami, ja nawet od ich strzały mam pamiętkę na lewem ramieniu, ale żadnemu z nas, ba! nawet żadnemu z naszych towarzyszy nie zdarzyło się zakosztować niewoli.

Osuchowski rad nie rad musiał się nastroje i opowiadać dzieje swęj wojny i niewoli. Nic byłoby on tego dla nikogo innego uczynił i podobno jak całe gremium Sanockiej szlachty i przyjaciół i rowieśników, nikt jeszcze tej spowiedzi na swoje szczęście od niego nie słyszał; ale Podkomorzy przez wyznanie przyjaciela dla jego ojca tak go zniewolił dla siebie, że nie tylko opowiadania, ale nawet już ofiary (żadnej nie było, której-by pan Łowczyk dla przyjaciela swojego ojca był w stanie odmówić. Podkomorzy tém krótkim o panu Fryderyku wspomnieniem już sobie jego syna kupił na wieczne czasy.

Więc opowiadał pan Łowczyk długo i szeroko wszystko, co tylko do tej wojny i niewoli należało, a kiedy mu ta fantazya przyszła, to i co takiego, co całkiem tam nie należało, a że opowiadający nie był w sztuce krasomowców tak bardzo biegły i więcej lubiąc poetów niż oratorów, zamiast Ciceroniańskie: *breve iter per exempla*, raczej Horacyuszowskie: *brevis esse curo, obscurus fio*, miał na pamięci; więc nietylko opowiadanie jego było długie, ale i trochę rozwlekłe i cokolwiek nudne. Bobowski, człek domyślniejszy i bystrzejszego pojęcia, w krótkim już czasie poznał, że Podkomorze-go i Kapelana zaczyna już potrochę nudzić pana Łowczyca relacya, jakoż z tej przyczyny począł się tam i sam kręcić na swoim krześle, a podczas gdy po każdym odchrząknięciu i nowego periodu zaczęciu przez oratora, jego twarz się coraz potężniejszym obléwała rumieńcem, byłby zaraz konia z rzędem darował za to, gdyby był mógł tylko dwa słowa powiedzieć Osuchowskiemu tak, aby ich nikt nie słyszał. Ale Podkomorzy długo i bardzo długo z najprzykładniejszą cierpliwością słuchał opowiadającego, po kilka razy nawet z początku za pozwoleniem przerywał mu mowę, aby się jeszcze raz o jakiś szczegół zapytać, i cierpliwość jego trwała dopóty, póki dzień jasny bieleł wszystkie okna Podkomorskiej sypialni; ale kiedy słońce zachodzące czerwonym płomieniem uderzyło w szyby nad przepaściami Ho-

czewki wiszące, i kiedy okno wychodzące w dziedziniec tak już poszarzało, jakby szyby w niem były żelazne, a pan Łowczyk dopiero po raz pierwszy na hajdamaków uderzył,—Podkomorzy także się począł potrochę kręcić i oglądać. Bobowski to zauważał i na twarz jego jeszcze potężniejsze wystąpiły rumieńce..... tymczasem słoneczne promienie coraz bardziej czerwieniąc, doprowadziły Osuchowskiego do tego, że po raz wtóry na hajdamaków uderzył i po raz trzeci uderzył, a czy sam się spostrzegłszy, czy w opowiadaniu się rozogniwszy, rzeczywiście już się spieszyć począł do końca. Ale to nie nie pomagało, Podkomorzy już się tak jak niecierpliwie widocznie, że Bobowski, niespuszczając i oka z niego, już począł w duchu przeklinać ten dzień i godzinę, w której z Łowczycem wybrał się na Balogrodzką wizytę, a kiedy obliczył sobie w duchu, wiele to jeszcze razy Osuchowski, człek tak rzetelny i skrupulatny, musi na hajdamaków uderzyć, ażeby się z prawdą nie minął, wiele czasu będzie mu trzeba na to, ażeby okolicznie opowiedzieć swoje fatalne w niewolę wzięcie, włóczenie się z kupami hajdamackimi, przejście w ręce Tatarów Krymskich, od tych do Turków i tak dalej, to już mu tylko raz się robiło zimno, a raz gorąco i Tantalowe męki pokazały mu się tak jawnie, jak gdyby sam był Tantalem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROB BOYVEAU-LAFFECTEUR

Wyłącznie upoważniony leczę radykalnie i w krótkim czasie liszaje, skrofule, darcie, reumatyzmy i podagrę, równie jak choroby krwi tak nowe jak i zastarzałe i opierające się żywemu srebru, sassaparylli i jodkowi potasu. Cena doży 4 ruble srebrem. Składy jego znajdują się we Francyi, Belgii, Holandyi, na brzegach Renu i w Bazylei u wszystkich aptekarzy. Dowiadujemy się, że w skutek polecenia belgijskiego ministra wojny propozycya doktora *Girardeau de Saint Gervais* dostawiania Rob Laffektera została przyjęta i minister skarbu nakazał wolne od cła wprowadzanie tego preparatu na użytek armii belgijskiej. Już w roku 1788 francuskie ministerstwo marynarki poleciło, aby na każdym okręcie królewskim znajdował się zapas tego lekarstwa, a w r. 1793 zawarto ugody względem dostawy tego środka dla marynarki przez czas wojen Rplitej.

Butelka ROB BOYVEAU-LAFFETEURA zawierająca półtora funta syropu skoncentrowanego sprzedaje się po 4 ruble srebrem. Składy w Cesarstwie w St. Petersburgu we wszystkich aptekach i u p. Harvy materyalisty, głównego agenta upoważnionego do przedawania panom aptekarzom po tej samej cenie co w Paryżu, z podpisem swęj firmy. W Odessie u Koehlera, i Porzezińskiego. W Moskwie u Forbroechera aptekarza na Petrowce; prócz tego we wszystkich innych aptekach i u p. Konstantego Thal materyalisty sprzedaż en gros po tych samych cenach co w Paryżu. W Kownie w 3ch aptekach, w Tambowie u Wernera, w Taganrogu u Leopolda Hamburger. Przedaż ROB BOYVEAU-LAFFECTEURA dozwolona została w Cesarstwie Rosyjskiem po poprzedniem zbadaniu, za zdaniem zarządu lekarskiego zgodnie z prawami.

W Królestwie w Warszawie we wszystkich znaczniejszych aptekach i u p. Galle głównego agenta. W Austrii w Krakowie u Helodzyńskiego i Moldzyńskiego. W Turcyi w Konstantynopolu u pp. Galleja i Oitoni aptekarzy. W Wołoszczyźnie i Mołdawii w Bukarescie u A. Steege. Po wykazaniu w Bukarescie szczęśliwych jego skutków w najniebezpieczniejszych okolicznościach, predaż tego środka została upoważnioną.

Butelki są kapslowane i zamknięte pergaminem z opaską, na której podpis doktora Girardeau de Saint Gervais. Przepis użycia tłómaczony jest na wszystkie języki.

Główny skład prawdziwego ROB BOYVEAU LAFFECTEUR znajduje się wyłącznie u doktora Girardsau de Saint Gervais przy ulicy Richer, 112 w Paryżu.

Rada Szczęśliwa Opiekuneczna Szpitala Dzieciątka Jezus.

Ogłasza niniejszém, że na dostawę artykułów żywności dla Szpitala Dzieciątka Jezus w ciągu pierwszego półrocza 1854 r. potrzebnych, a mianowicie:

Grochu korcy 65, czyli czwarti 39, cztetwer. 5. Mąki pszennej i żytniej korcy 755, czyli cztetw. 46C, cztetw. 3.

Krup korcy 564, czyli cztetw. 345, cztetw. 5. Okrasy funtów 11,890, czyli pudów 295, funtów 13.

Żyta korcy 270, czyli cztetwerti 164, garcy 5. Piwa beczek 540.

Odbędzie się licytacya w dniu 9 (21) listopada 1853 r. przed Radą Szczęśliwą Szpitala Dzieciątka Jezus o godzinie 5 z południa, a to przez deklaracyę opieczętowaną, a potem głośną. Vadium którego wysokość do każdego oddziału żywności w warunkach licytacyjnych jest oznaczona na ręce Intendenta Szpitala w gotowiznie lub papierach publicznych złożone byćd winno do godziny 5 wieczorem, w dniu na licytacyę oznaczonym.—Blizsze warunki dostawy przejrzeć można każdodziennie w kancellaryi Szpitala.

Warszawa d. 26 paździer. (7 listopada) 1853 r.
Opiekun Prezydujący

Rzeczywisty Radca Stanu, *Niepokojezyczny*.

Dobra dziesiątka 1,059 czyli włók dużych 68, morgów 26, pretów 96 rozległe, z inwentarzami, są do sprzedania z wolnej ręki.—Dobra te odległe są od miasta Płońska wiorst 10, od Wyszogroda wiorst 18, od Płocka wiorst 28—budynki w najlepszym stanie.—Mapę, rejestr pomiarowy i warunki sprzedaży przejrzeć można u Wrotnowskiego Patrona Trybunału w Warszawie, w domu Lipka przy ulicy Miodowej zamieszkałego.

Ludwik Aumana, wyrabiający i wstawiający sztuczne zęby, mieszka przy ulicy Długiej pod nr. 586 lit. B.

Paweł Judnikow sprowadził transport Pijawek w najlepszym gatunku, a zatem upraszam Prześwieconej Publiczności o zakupienie takowych po zniżonej cenie; zamieszkały przy ulicy Wałowej w domu zajezdnym pod Nr. 1778 b.

JAMAJKA RUM odleżały w najlepszym gatunku wprosz z Londynu sprowadzony, butelka po rs. 1 i 20 kop. wyprzedaje się zupełnie w handlu BRACI LESSER przy placu Krasińskim w Starym Teatrze.

Do dzisiejszego numeru dołącza się Korrespondent Nr. 89.